NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 30 Katowice, 23-go lipca 1933

Niedziela siódma po Zielonych Świątkach.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Rzymian, w rozdz. VI., w 19-23.

Bracia! Po ludzku mówię, dla nieudolności ciała waszego; albowiem jakoście wydali członki wasze na służbę nieczystości, i nieprawości ku nieprawości; tak teraz wydawajcie członki wasze na służbę sprawiedliwości, ku poświęceniu. Bo gdybyście byli niewolnicy grzechu, bylibyście wolnymi sprawiedliwości. Jakiż tedy na on czas pożytek mieliście z owych rzeczy, za których teraz się wstydzicie? Bo koniec onych jest śmierć. A teraz będąc wyzwoleni od grzechu, a stawszy się sługami Boga, macie owoc wasz ku poświęceniu, a koniec żywot wieczny. Albowiem zapłaty grzechowe śmierć. A łaska Boża, żywot wieczny w Chrystusie Jezusie Panu naszym.

EWANGELJA

u św. Mateusza, w rozdziale VII., w. 15—21.

W on czas: Rzekł Jezus uczniom Swoim: Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze, a wewnątrz są wilkami drapieżnemi. Po ich owocach poznacie ich. Czyliż się zbiera winogrona na terenie, albo figi na ostach? Tak to każde dobre drzewo rodzi dobre owoce, a drzewo złe rodzi złe owoce. Nie może drzewo dobre przynosić owoców złych, ani drzewo złe przynosić owoców dobrych. Każde drzewo, które nie rodzi dobrych owoców, będzie wycięte i w ogień wrzucone. Tak więc po ich owocach poznacie ich.

Niekażdy kto Mi mówi: Panie, Panie! wnijdzie do królestwa niebieskiego, ale ten kto spełnia wolę Ojca mego, który jest w niebiesiech, ten wnijdzie do królestwa niebieskiego.

Nauka niedzielna o złej prasie.

P. Jezus każe nam się wystrzegać pilnie fałszywych proroków, którzy do nas przychodzą w odzieniu owczem, a wewnątrz są wilcy drapieżni. Mamy ich dziś wszędzie: na wiecach, zebraniach, w towarzystwach, a **przedewszystkiem w złej prasie, t. j. w złych książkach i złych pismach.**

Dziś człowiek światły bez książek i bez pism się nieobejdzie. W słowie drukowanem znajdzie on pokarm dla swego umysłu i dla swego serca. Ale pokarm to różnorodny, znajdziesz tam i pożywne ziarna, **lecz znajdziesz i trujące jady. Trzeba być zatem bardzo ostrożnym, ażeby umieć wziąć do czytania to, co dla duszy korzystne, a uniknąć tego, co szkodliwe.**

Po czem poznać, czy jakaś książka lub jakieś pismo jest dobre lub złe? Są na to różne sposoby.

1) Czasem książki lub pisma mają już ustaloną swoją opinję, każdy wie, że ta książka dobra a ta zła. Wtedy wybór łatwy: książkę czy gazetę, o której wiesz, że jest dobra, bierz do czytania, **książki i gazety złej unikaj.**

2) Trudniej rozstrzygnąć, gdy wpadnie ci do ręki książka nowa, nieznana. Ale wtedy można po różnych znakach osądzić, czy można tę książkę czytać, czy nie.

Popatrz, kto tę książkę napisał, kto pismo redaguje. **Jeżeli tam podpisany jest człowiek, o którym z dawnego czytania wiesz, że to pisarz uczciwy, katolicki, to możesz spokojnie wziąć jego dzieło do czytania,** jeżeli zaś wiadomem ci, że pisarz ten serc ludzkich nie uszlachetnia, ale gorszy, książki do rąk nie bierz.

Popatrz się też, kto książkę wydał, jaka księgarnia ją dała do druku i ją rozpowszechnia. Jeżeli katolicka, naprawdę katolicka, nietylko z imienia, ale i z ducha, to możesz śmiało książkę czy pismo czytać. Takie dobre, pewne firmy wydawnicze są np. Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu, Bibljoteka Religijna we Lwowie, Księża Jezuici w Krakowie. Jeżeli takim nakładem książka wyszła, to możesz być pewny, że podają ci do ręki nie kąkol, lecz ziarno pożywne. Wtedy nawet, choćbyś autora dzieła nie znał, możesz książkę bezpiecznie przeczytać.

Gdy chodzi specjalnie o książki religijne, to bardzo dobrym sposobem odróżnienia plewy od ziarna jest zobaczenie, czy na wydanie tej książki jest pozwolenie biskupa. Mianowicie zaraz na drugiej stronie książki o treści religijnej powinien być napis: „Za pozwoleniem władzy duchowej", lub: „Pozwalamy drukować", lub łaciński: „Imprimatur" (t. zn. „wolno drukować") i podpis biskupa, w której diecezji tę książkę wydrukowano. **Jeżeli więc jakaś książka religijna ma takie pozwolenie, to z pewnością jest dobra, jeżeli go nie ma, to jest conajmniej podejrzaną.** Nigdy zaś, pod żadnym warunkiem, nie bierz do ręki książki, czy pisma, o których wiesz, że Kościół tej książki czy tego pisma nie pozwala czytać.

3) Jeżeli zaś ani sama książka czy pismo ci nie znane, ani ich autor, ani wydawca, to zapytaj się kogoś bieglejszego w tych sprawach, najlepiej księdza — niech oni ci poradzą. Przecież, jeżeli znajdziesz w lesie grzyb nieznany, to nie będziesz go gotował i próbował na sobie, czy on jadalny, czy trujący, ale zapytasz się o to ludzi znających się na grzybach. Podobnie czyń z książkami i gazetami, bo przy pismach o ważniejszą rzecz chodzi, niż przy grzybach Tam chdzi o zdrowie ciała, tu o zdrowie duszy.

4) Nie daj się zaś nigdy pociągnąć przy książce nieznanej ci ładnym tytułem, a nawet podpisem nie-

znanego ci księdza jako autora, bo i fałsz może pobożny tytuł przybrać, a i heretyccy duchowni lubią nazywać się dla zmylenia czujności księżmi, więc trzeba być w tych sprawach bardzo ostrożnym.

Uważajcie bardzo na te sprawy. Uważajcie sami na siebie, uważajcie na swoje dzieci, na swoją służbę, bo dziś tyle tego papieru drukowanego między ludźmi, tyle wam różności do czytania z różnych stron wpychają, że łatwo możecie zamiast ziarnem zdrowem obsiać swą duszę kąkolem. **Dziś przy pomocy pism i książek toczy się bój o waszą duszę, bój między Bogiem i szatanem. Ziarna zdrowe, książki i pisma szlachetne przyjmujcie, garnijcie się do nich, zaś zatrute książki i pisma bezbożne i niemoralne odrzucajcie od siebie.** Niech w umysłach waszych i sercach nie kąkol wyrasta, lecz owoc szlachetny. Amen.

Bł. Kunegunda, królowa Polski.

(24 lipca).

Bł. Kunegunda albo Kinga, córka króla węgierskiego imieniem Bela 4. (ożenionego z Marją, córką Aleksego, cesarza greckiego), urodziła się w r. 1224. Już jako mała królewna odznaczała się ona niezwykłą i światłą pobożnością i wyjątkowo dobrem sercem dla ludzi zwłaszcza ubogich i nieszczęśliwych. Była ona przytem rozmiłowana w naukach, mimo, że wówczas nauka niewiast, nawet królewień, nie była we zwyczaju.

Wychowała się Kunegunda w stolicy Węgier Budzie (dziś Budapeszt). Miała lat ledwie piętnaście — gdy król polski Bolesław 5 (syn Leszka Białego i Grzymisławy z książąt ruskich) poprosił o jej rękę. Kinga nie zamierzała wychodzić zamąż i pragnęła wstąpić do klasztoru, ale w radzie ojca widząc wolę Bożą, usłuchała ojcowskiej rady i zgodziła się poślubić króla Bolesława.

W roku 1239 biskup krakowski Prandota pobłogosławił ich związek małżeński. Jako już królowa zasłynęła dobrodziejstwami i łaskawością. Cała bogobojności oddana i pragnąca pozostać dziewicą, upraszała sobie u króla — małżonka z roku na rok a wreszcie zupełnie zyskała jego zgodę na zachowanie dziewictwa. Król choć pragnął mieć potomka, szanując jednak życzenie świętobliwej małżonki, zgodził się na ślub czystości. Stąd to pochodzi nazwa tego króla Wstydliwy.

Król i królowa byli bardzo kochani przez poddanych, oboje bowiem troszczyli się o naród jak ojciec i matka. Były wówczas niespokojne jednak czasy. W r. 1241 Tatarzy zagarnęli ziemie od Wschodu z Polską sąsiadujące i napadli na Polskę. Walczył z nimi Bolesław Wstydliwy, ale było ich jak szarańczy i podstępem przemogli Bolesławowe wojsko. Król i królowa schronili się na Węgry. Następnie stoczono jeszcze bój z hordą tatarską pod Lignicą, gdzie poległ krewny króla książę Henryk Pobożny. Pohańcy zwyciężyli ale ponieśli tak wielkie straty, że musieli się cofnąć

Gdy para królewska wróciła do Polski, kraj znowu zaczął rozwijać się. Między innemi odkryto kopalnie soli w okolicy Bochni i Wieliczki. Z tem zdarzeniem wiąże się legenda o pierścionku Kingi, którą zna każde dziecko z nauki historji w szkole.

Król Bolesław Wstydliwy wraz ze świętobliwą małżonką panował do r. 1279. Gdy umarł, chcieli Polacy, aby Kinga dalej królowała, ale ona choć bardzo naród kochała nie chciała pozostać na tronie, lecz wstąpiła do zakonu Sióstr Klarysek i zamieszkała w Starym Sączą.

Teraz znowu zasłynęła świętością i cudami.

Wiele też cudów działo się potem po jej śmierci (umarła w r. 1292). Zczasem została uznana najwyższą powagą Kościoła za błogosławioną i za patronkę Polski. — Wśród narodu przyjął się i utrwalił dla niej tytuł świętej i pamięć św. Kingi niezatarta wciąż żyje, bo świetlana była ta królewska postać — później zakonnicy.

Zapewne też, że w niedalekiej przyszłości odświeży się jej pamięć nie tylko w Polsce czy na Węgrzech, ale w całym Kościele, gdy uroczyście uznana będzie za świętą.

Pieter.

Poznałem go w jednej z podmiejskich restauracyj.

Knajpa była sobie całkiem powszednia, mniej niż podrzędna. Zapełniona była jednak od rana niewybredną, hałaśliwą klientelą, ba — nawet o podejrzanych i podpadających fizjognomjach, jaką się spotyka zwykle na uboższych przedmieściach. Goście obsiadali proste, a brudne stoliki dokoła ścian i przy skąpo sączących się przez wąskie, a głębokie okna promieni światła wypijali jałowe zawartości kufli, kieliszków lub szklanek; ćmili odpowiednio do swojej kieszeni lepsze i gorsze rodzaje tytoniu i wypuszczali nieokreślonego koloru obłoki ku powale, na której osiadły ciężkie krople wody, spadające co chwila wraz z płatkami tynku na podłogę, szynkfas albo gościom na nosy.

Publiczność nie przerażała się wcale odrapanych, niechlujnych ścian, ciemności i owych zlatujących cząstek z sufitu, lecz rozgwarzona podnosiła głosy i pięście; błyskała gniewnie szklącemi się oczyma po sobie, padała sobie w objęcia i — całowała rozgłośnie. Z tego pijackiego chaosu odezwała się niekiedy swawolna uliczna piosenka śpiewana ochrypłym basem albo i przepitym tenorem, lub też podjęta została przez ogół audytorjum, które wyjąc, gwizdając, wtórowała śpiewakowi. Nierzadko rozlegał się dźwięk trącanych kieliszków i brzęk tłuczonego szkła.

Powietrze w knajpie przepojone było pleśnią, wilgocią, zapachami najróżnorodniejszych wódek, specyficzuym wyziewem skisiałego piwa, odorem ludzkich wydechów, przesiąkniętych wonią spożytych kwaśnych specjałów i wódki, oraz smrodliwemi chmurami tabaki.

Poraz pierwszy wstąpiłem do knajpy przygodnie wieczorem. Życie gospody zainteresowało mnie z miejsca. Nazajutrz poszedłem zaraz zrana. Za szynkfasem stał właściciel, czy też może kelner z tą samą niewzruszoną powagą, co wczoraj. Był to człek, który mógł obserwatora wprawić w zdumienie. Głowa wygolona, kształtu niewyraźnego pooranego bloku granitowego, na której rysy, oczy, nos i usta pomieszane były ze sobą, poprostu skłócone; wszystko to zalane tłuszczem ciążyło ku dwom potwornym, zwisającym torbom lic. Tułów, jakby dopasowany do głowy, zajmował pół miejsca za

ladą. Jegomość zza szynkfasu spoglądał szparkami tonących w ciele ócz na licznych już gości, jak król na swoich poddanych. Raz poraz podnosił z widocznym wysiłkiem rękę do kurka i nalewał piwo. Pomiędzy siedzącymi gośćmi uganiała się zwinnie ładna kelnerka. Siadłem naumyślnie blisko szynkfasu. Rzuciłem grubasowi krótkie życzenie.

— Jakie? — zapytał, nie ruszając się z miejsca okropnym basem, który wprost mnie przerażał.

— Proszę powiedzieć, jakie papierosy są — odpowiedziałem, żywiąc, zdawało mi się słusznie, podejrzenie, że będą zaledwie jakie marne „Damskie".

— Jakie? — powtórzył restaurator z odcieniem głębszym w tonie.

— Damesy! — zdecydowałem się wreszcie.

— Alma! — zawołał bas z tym samym niewzruszonym spokojem, tylko głosem więcej nosowym — Damesy!...

— „Alma"! — pomyślałem i w tej chwili ujrzałem w wyobraźni urocze, kwieciste i słoneczne hale Tyrolu. — „Cóż za poetyczne imię!?"

Tymczasem goście coraz nowi napływali. Co chwila uderzały o moje uszy ostentacyjne powitania i prawie stereotypowe rozkazy grubasa: Alma, dwa koniaki; Alma! — cztery jasne; Alma! — dwa likierki, dwie wody ze soczkiem itd. Dziewczę zaś fruwało wprost po lokalu i obsługiwało zręcznie wszystkich.

— Alma! — zawołał ponownie restaurator — muzyka!...

Kelnerka poleciała za moje plecy. Obróciłem się zaciekawiony i spostrzegłem dużych rozmiarów szafę, z której spłynęły równocześnie chrapliwe zardzewiałe, skakające i niby pijane dźwięki melodji marsza, czy też walca. Mógł to być równie dobrze niemiecki „Torgauer Marsch", jak i uwertura Offenbacha do „Orfeusza w piekle". Widziałem obracające się leniwo rdzawe płyty i czytałem: Kaliope, Terpsychora, Thalia... Słowem wszystkie dziewięć muz. Skoro muzyka zabrzmiała sala zatrzęsła się rykiem kilkunastu głosów.

Prawie oszołomiony podniosłem oczy na gości siedzących przy stołach. A oto z gromady wyszedł chwiejnym krokiem człowiek ubrany w wyrudziały bronzowy żakiet, w dętym, załamanym kapeluszu na głowie, w którym tkwiło z boku długie najpospolitsze pióro kogucie. Jeśli knajpa ze swym właścicielem i klientelą wydawała mi się oryginalna, to gość drepcący obecnie na środku lokalu pociągał mnie jeszcze bardziej. Zauważyłem nasamprzód jego wiechciowate siwe wąsy, nos koloru przedojrzałego na słońcu ogórka, oczy wiecznie widocznie załzawione, czoło sklepione, wysokie i zmarszczone i błądzący na wąskich ustach uśmiech nawpół marzycielski, harmonizujący z skupionem w źrenicach światłem. Indywiduum to dzierżyło w kościstej dłoni grozę budzący kostur sękaty.

— P-i-e-t-e-r! — zawyli bywalcy knajpy, trącając się rozgłośnie w kufle, kielichy i zanosząc się rubasznym śmiechem.

Pieter w międzyczasie przestał podrygiwać. — Obracając się dokoła siebie, szasnął kilka razy nogami, poczem szurgnął jeszcze raz półkolem i podniósł jedną stopę uzbrojoną w but iście szaplinowski. Zaraz następnie tupnął, zakołysał się w biodrach i deptał w takt owej mieszaniny uwertury „Orfeusza w piekle" i „Torgauer Marsch'u". Równocześnie tancerz zaczął pod nosem mruczeć jakąś nieznaną mi nutę, jeśli to wogóle nuta była. Przyjrzałem się bliżej pochylonej postaci Pietra i — poczułem sympatję do dziada. Dziad zaś chrapał dalej swoje dźwięki, które wydawały się wtórem zardzewiałej muzyki ponurym melodramatem. Raptem wszystkie muzy w zamkniętej szafie zamarły; wtedy piosenkę snuły dalej gwizdy gości i jakaś zapłakana harmonijka z kąta pod oknem. Pieter ponowił swe tany, a zachęceni towarzysze ryczeli pełnem gardłem:

— Pieter!... aha!...

Nagle szynkfas zadygotał gwałtownie, to grubas zaśmiał się swoim basem:

— Pieter! cha, cha, cha.

— Pieter! cha, cha, cha... — zawtórowała gromada.

— Ach, ...ten Pieter! Gdzie to bydlę się już urżnęło? — wrzeszczał bas, stojąc nieporuszony za ladą z ręką na kurku pompy piwnej. Wszystkie pieniądze zostawił u tego — Kamarskiego.

Dziad jakby podcięty zatoczył się szeroko i — upadł obok mnie na krześle. Zniechęconym ruchem ręki przesunął kapelusz na bakier i odsłonił pęk siwych kosmyków, spadających na ucho. Następnie zwiesił głowę na piersi i począł łkać jak dziecko.

— Tak nisko upadłem! — szlochał. Upodliłem się, jak nieboskie stworzenie. Widzi pan — mówił do mnie, nie patrząc się zgoła na moją osobę — taki karczmarz, łapiduch, faska łoju śmierdzącego maślnica wstrętna zaczepia mnie człowieka z honorem, który... miałem honor. O, ...moja wina! Każdy pies, stojący na trzech nogach czuje się upoważnionym do znieważania mnie. Pieter, wołają za mną. A byłem panem Piotrem Galwasem. Wiem, że upadłem nisko, ale... — Pieter podniósł głowę i błysnął groźnie załzawionemi oczyma.

— Che, che, che... — śmiał się jegomość za ladą wcale nie obrażony za epitety nadane mu przez klienta.

— ...ale — ciągnął dalej mój sąsiad w bronzowym żakiecie, podnosząc w górę kostur sękaty wzamian palców do przysięgi — przyjdzie jeszcze czas, że z Piotra Galwasa będzie człowiek. Zrywam z gorzałką raz na zawsze. Pana biorę za świadka.

— Che, che,... — po raz który przysięgasz.

— Na Boga, poraz ostatni!

Obok naszych krzeseł przebiegła ładna kelnerka, mijając nas zawołała:

— Wujku Pietrze, nie płaczże!

— To krewna pana? — zapytałem.

— Poczciwe dziewczysko — rzekł pieszczotliwie, nie odpowiadając zrazu na pytanie. Podniósłszy jeszcze wyżej laskę, wytarł rękawem oczy i powiedział — upadłem, to prawda, ale mogę i będę porządnym człowiekiem. Niechaj djabli wezmą tę przeklętą wódkę! Żebym zdechł, jeśli kropelkę jeszcze wezmę do gęby. Samą wodę, panie... samą wodę. Hola,, byłoby inaczej, gdyby nie los! Los mnie do tego doprowadził. Ta dziewczyna; widział pan tę dzieweczkę: anioł, cacko, laleczka. Biedactwo — sierota musi obsługiwać tą dzicz, która ją żre oczyma, a wyciąga lubieżnie brudne łapy... Mogłoby inaczej być. Zostałaby prawdopodobnie moją córką. Jej matka,... ale to długa historja. Nie wiem czy pan zechce słuchać?

— Z przyjemnością, jeżeli pana nie będzie żenowało.

— Cha, cha... złapał kozak Tatarzyna... — śmiał się grubas — który to raz opowiadasz Pietrze?

— Mniejsza o to! Nikogo moje krwawe dzieje nic nie obchodzą. Wyśpiewam panu moją krzywdę. (Posiadł pan odrazu moje zaufanie). Ale uprzedzam, że będzie długo trwało...

Zrozumiałem do czego zmierzał.

— Pokrzepimy się wódką — odparłem, wołając zarazem na kelnerkę.

Pieter poruszył się z oburzeniem.

— Nie! Najmocniej dziękuję. Wdzięczny jestem panu, ale nie mogę. Przysięgałem! a pan wie, co to znaczy. Niechaj ta obmierzła beczka za szynkfasem nie powie, że Piotr Galwas jest skończonym łotrem bez czci i honoru. Nie! szanowny panie, przykro mi, ale muszę odmówić. Chociaż...

— Może piwo...

— Marjanko! — zagadnął Piotr Galwas dziewczynę, która stanęła przy naszym stole. — Marjanko! Piwo, to chyba nie gorzałka, przyznam się, że pragnienie pali mi podniebienie.

— Nie wuju Pietrze! gorzałka to nie piwo, a piwo nie gorzałka — odpowiedziała z figlarnym uśmiechem.

— Myślałem, że pani na imię Alma — rzekłem.

Roześmiała się głośno, ukazując dwa rzędy drobniutkich i prześlicznych pereł w ustach.

— Tu wszystko tak się nazywa. Nasza restauracja nosi szyld z napisem: „Odpoczynek w Zillertalu". Nie zauważył pan obrazów o treści czysto tyrolskiej. Muzyka — „Ländler" tyrolski...

Zerknęła w stronę gospodarza i — zdawało mi się, że dusi się od wewnętrznego śmiechu. Po chwili uleciała od nas, spiesząc do innych stołów. Piotr Galwas zerwał się ze swego siedzenia i przedstawił mi się z prawidłowym ukłonem i szarmancją, którą daremnie szukałbym w tych łachmanach. — Jednym haustem wciągnął potem w siebie zawartość olbrzymiego kufla. Ocierając siwe wiechy powiedział, spoglądając pożądliwie w stronę szynkfasu:

— Zawszeć to piwo ,atoli tamto, co wypiłem u... Kamarnickiego (maślnica zgadła!) lepsze było, za przeproszeniem wielmożnego pana. Dlaczego takie paskudztwo człowieka pociąga? — No, a moja historja. Zdziwi się pan niemało. O, Boże jak upadłem! Byłem jednak kiedyś bardzo porządnym człowiekiem. Miałem posadę na poczcie. Nie ma co mówić: dobrze mi się wiodło. Zaręczyłem się z panną piękną; grosiwa tam nie posiadała, ale buzię — ćm, ćm... Widział pan Marjankę, kropla w kroplę podobna do mamusi.

— Czyżby?..

— Jej córka, ale nie moja. Ach, Boże drogi, jak upadłem; czuję to — jak pan mną pogardza. Ten taniec na środku... Wszystko stracone, wszystko przepadło. Napijmy się wódki!

Alma przyniosła wódki. Dla starego zaś specjalny rozmiarami przerażający kielich. Przechylił głowę i pociągnął ze szkła, lecz nie wszystko. — Przypuszczałem, że wypił i połknął. Zdziwiły mnie jego wydęte policzki. Posłyszałem podejrzany szmer podobny płukaniu ust. Oto przyjaciel mój małemi łykami przepuszczał płyn przez gardło, rozkoszując się smakiem pozostałej reszty w ustach. Człowiek ten poprostu gryzł gorzałkę.

— Ha! — otrząsnął się niby z obrzydzeniem — niedobre pioruństwo. Ale pociąga... — dodał.

W tym momencie rozległy się dźwięki chrypiącej muzyki na nowo. Gość wypróżnił pośpiesznie lampkę i podrygując dążył na środek pokoju. Straciłem go potem na pewien czas z oczu, lecz kiedy wychodziłem, znalazł się obok mnie.

— Niech mi pan adres swój zostawi. Odwiedzę pana i opowiem mój piekielny żywot. Ach, ta przeklęta gorzała!

II.

Byłbym najprawdopodobniej zapomniał o Piotrze Galwasie. Nie zapomniał atoli on. Zapukał pewnego ranka do mnie i wszedł stuknąwszy nieodłącznym kosturem o podłogę. Nic zresztą nie zmieniło się w jego wyglądzie od ostatniego widzenia. Na kapeluszu załamanym powiewało znane mi pióro kogucie, poruszające się w porannym wietrzyku, który wkradał się przez uchylone okno do pokoju.

— Przyszedłem... przyszedłem, widzi pan: słowa dotrzymałem. Upadłem, ale stać mnie jeszcze na coś. Ha, gdyby nie ta gorzałka!

— Proszę siadać, bardzo mi miło. Wypije pan...

— Bo to przysięgałem, proszę pana. Słowo nie wiatr. Ostatecznie... — oczy załzawione zabłysły światłem pożądliwem — jestem przecież gościem pana. Hola, niech się dzieje, co chce. Trudno, kiedy pan nalega — usprawiedliwiał się Pieter. — No, to zdrowie!

Gość mój z kosturem w ręku, oparł się wygodnie o poręcz krzesła i rozpoczął na nowo swoją opowieść. Dowiedziałem się wreszcie, że w tych dawnych szczęśliwych czasach „pożyczył" sobie z kasy pocztowej kilkaset złotych na długi za tą „przeklętą" wódkę. Rewizja, którą przeprowadzono nazajutrz, wyjawiła jego rzekomą malwersację.

— Chociaż, proszę pana — zaręczał Pieter — z rachunkami nic nie robiłem. Pod niefortunną gwiazdą się rodziłem. Zazdrość ludzka mi to sprawiła. Wiem, główny kasjer doniósł... Potem odeszła ta — panna, Marjanka. O, Boże jak nisko upadłem! Ale — jak Boga kocham, stanę jeszcze na własnych nogach. A wtedy, wie pan, co zrobię? Marjankę zabiorę do siebie. Mieszkanie urządzę sobie tip, top! I — wyprowadzę dziewczynę na ludzi. Ale gadam, gadam, a pan pewnie czasu nie ma.

— Skądże...

— Miałbym małą prośbę do pana. Sprawa honorowa! Oddam do grosza.

— Ile panu potrzeba?

— Cóż znowu? — oburzył się srogo — czym handlarz, żebym tysiącami szafował? Pięć złotych wystarczy mi. Na 15-go wrócę. Sprawa honorowa!

Odtąd składał mi regularnie wizyty, co dwa tygodnie jedną. Zawsze nagabywał mnie o pożyczkę. Zmniejszałem raty, następnie dawałem po 50 gr. na odczepne. Ilekroć zjawiał się w moim pokoju, wyciągał coś w rodzaju notesika i przemawiał następująco:

— Ile to winieniem panu? Zaraz, zaraz — niechaj pan nie przeszkadza. Mam, wszystko dokładnie zanotowane. Hola! — krzyknął, marszcząc brwi — dwadzieściadwa złote. Czy zgadza się, prosę pana?

(Dokończenie nastąpi.)